

ANALIZY

ZDZISŁAW M. RURARZ

EPITAFIUM LECHA WAŁĘSY

(3)

Po południu, w piątek 22 grudnia 1995 r., Lech Wałęsa, zabierając podarowany mu przez Norwegów fotel i żegnając się lampką wina ze swoimi współpracownikami, opuścił sprawowany przez pięć lat urząd prezydencki, przeniesiony za jego kadencji z Belwederu do Pałacu Namiestnikowskiego, miejsca cieszącego się złą sławą w historii Polski. Następnie udał się do swojej willi w Gdańsku przy ul. Polanki 54. Tam już czekały go zablokowane konta osobiste, jak też sekwestr na willę, w związku z zaległymi podatkami od otrzymanej od Warner Bros. sumy milionów dolarów.

Dzień wcześniej, w czwartek, zdążył jeszcze promować czterech pułkowników MSW do stopni generalskich, w tym Mariana Zacharskiego, ongiś aresztowanego w USA szpiega PRL, który ponoć zdemaskował agenturalne powiązania premiera Oleksego z wywiadem sowiecko-rosyjskim, kupując... na Majorce kompromitujące go dowody od b. rezydenta KGB w PRL płk. Władimira Alganowa...

W każdym razie, Lech Wałęsa nie uczestniczył w uroczystościach zaprzysiężenia nowego prezydenta, Aleksandra Kwaśniewskiego, które odbyły się o godz. 13. w sobotę 23 grudnia.

przeżalście samotny, gdyż nawet małżonka Danuta wołała gdańskie od warszawskich pieleszy. Nie ułatwili mu też życia synowie Sławomir i Przemysław, pijacy i kryminaliści, przy których ongiś "czerwony książę" Andrzej Jaroszewicz był wręcz sympatycznym bobaskiem... Na koniec opuścili go nawet, w niezbyt jasnych okolicznościach, Mieczysław Wachowski, ciemna postać, jak też ks. Franciszek Cybula, inna ciemna postać, udająca osobistego spowiednika prezydenckiego.

Prezydenta Wałęsy "nie czuło się" ponadto ani w stolicy, ani poza nią. Miał co prawda setki etatowych i nieetatowych doradców, często wybitnych ludzi, ale z reguły ich nie widywał, ani indywidualnie, ani zespołowo.

Nikt też nie będzie pamiętał żadnych mądrych sentencji pierwszego w Polsce powszechnie wybranego prezydenta.

Co do mnie, to zapamiętałem, że raz powiedział o kimś jako o "fałszywym psie", rzecz tak nonsensowna, iż nie wymagająca komentarza. Inne powiedzenie, w którym porównał Jana Olszewskiego do "małpy z brzytwą", też utkwiło mi w pamięci...

Ale nie to jest nawet najważniejsze. Droga do klęski Lecha Wałęsy była długa

który oni też znali. Jednakże nie omieszkali mu powiedzieć, że Polacy, ze względu na tradycje, powinni z nimi rozmawiać po francusku! Doszło w końcu do tego, że musiałem się podjąć roli tłumacza, gdyż Francuzi, zorientowawszy się, iż mówię ich językiem, odmówili dalszych rozmów po angielsku...

Sowieccy funkcjonariusze z kolei nigdy z Polakami, na ile wiem to z własnego doświadczenia, nie chcieli mówić inaczej jak po rosyjsku. Niemcy z kolei chcieli rozmawiać tylko po niemiecku, nawet ci z b. NRD, nie mówiąc już o Amerykanach i Anglikach, którym nawet do głowy nie przychodziło, że można z nimi nie rozmawiać po angielsku.

Stąd też prezydent Wałęsa, niemowa w językach obcych, ponadto w ogóle nie stynący z żadnej erudycji, czy choćby dobrych manier, szybko stał się osobą powszechnie unikaną w świecie, a nawet nie wolną od ironicznych komentarzy.

W każdym razie, Lech Wałęsa, decydując się na prezydenturę, musiał mieć zarówno wiele tupetu, jak też cierpieć na brak samokrytycyzmu, żeby porywać się na coś takiego i wystawiać siebie i Polskę na kpiny!

Chyba, że komuś zależało na ośmieszeniu Polski, w czym Lech Wałęsa mu pomógł...

py Europy", jeśli tylko nawrócili kiedyś do dawnych tradycji!

Zgoda, niechby nawet i tak było, ale kto kogo straszyl? Polska, żeby nie wiem jak próbowała "zdmuchnąć" Niemcy z mapy Europy, to zwyczajnie nie miałyby czym spełnić swojej groźby! Przemawianie zaś w imieniu innych, bez upoważnienia, jest zwyczajnie nieodpowiedzialne i głupie...

Fatalne wrażenie zrobił on też na zachodnio-niemieckim prezydencie Richardzie von Weizsaeckerze, autentycznym przyjacielem Polski, choć zdobywał ją w 1939 r., tracąc nawet brata przy tej okazji. Złe wrażenie wywarł też na Henry Kissingerze i jeszcze wcześniej na Margaret Thatcher, która w rezultacie tego popadła nawet w zachwyt nad... Jaruzelskim!

Natomiast bardziej zagadkową sprawą było słynne "zbesztanie" przez Lecha Wałęsę sowieckiego ambasadora w PRL, Władimira Browikowa, 18 stycznia 1990 r. w Gdańsku.

Lech Wałęsa "napadł" na niego, wypominając mu Katyń i inne zbrodnie sowieckie, jak też domagając się natychmiastowego zabrania wojsk PGWAR z Polski. Sprawa stała się głośna i podbiła popularność Lecha Wałęsy w narodzie. Tyle tylko, że wyglądała na...

MSW do stopni generalskich, w tym Marianna Zacharskiego, ongiś aresztowanego w USA szpiega PRL, który ponoć zdemaskował agenturalne powiązania premiera Oleksego z wywiadem sowiecko-rosyjskim, kupując... na Majorce kompromitujące go dowody od b. rezydenta KGB w PRL płk. Władimira Alganowa...

W każdym razie, Lech Wałęsa nie uczestniczył w uroczystościach zaprzysiężenia nowego prezydenta, Aleksandra Kwaśniewskiego, które odbyły się o godz. 13. w sobotę 23 grudnia.

Fakt, że coś takiego mogło w ogóle zaistnieć, źle świadczy o powadze państwowości polskiej i choćby minimum politycznego savoir-vivre ludzi najwyższego szczebla. Trzeba bowiem umieć także przegrywać, a nie tylko wygrywać.

I tak, "saga Lecha Wałęsy" staje się już historią, a jak potoczą się losy osobiste jej głównego bohatera - jeszcze nie wiadomo. On sam nie wypowiada się jasno na ten temat, a jego "bomba z Oleksym", którą eksplodował na odchodne, może się jeszcze źle skończyć dla niego. Jego dalsze losy będą teraz zależą zarówno od jego przeciwników, jak też sojuszników, a płynące z tej strony sygnały są co najmniej zagadkowe.

Lech Wałęsa nosi się też z zamiarem powołania do życia Instytutu swojego imienia, o bliżej nieznanym celach i profilu.

No cóż, ewentualny patron takiej placówki, szcycący się nie przeczytaniem choćby jednej książki w życiu, nie wydaje się być magnesem mogącym do niej przyciągnąć wybitne umysły...

Nie spekulując więc co będzie dalej, zajmijmy się ostatni okresem prezydentury Lecha Wałęsy.

Mówiąc najkrócej, była to fatalna prezydentura, kompromitująca sam urząd i jej szefa, zarówno jako polityka, jak też człowieka.

Wiadomo, że ktoś raz wyniesiony na najwyższe godności w narodzie i państwie nie łatwo spada w dół. Lech Wałęsa spadał jednakże w dół już od lat, zarówno jako wspomniany już polityk, jak też jako zwykły człowiek. Jako człowiek właśnie, ostatnimi laty nie zadzierzgnął on żadnych nowych przyjaźni, a stracił te dawne. W stolicy był

ich nie widywał, ani indywidualnie, ani zespołowo.

Nikt też nie będzie pamiętał żadnych mądrych sentencji pierwszego w Polsce powszechnie wybranego prezydenta.

Co do mnie, to zapamiętałem, że raz powiedział o kimś jako o "fałszywym psie", rzecz tak nonsensowna, iż nie wymagająca komentarza. Inne powiedzenie, w którym porównał Jana Olszewskiego do "mały z brzytwą", też utkwiło mi w pamięci...

Ale nie to jest nawet najważniejsze. Droga do klęski Lecha Wałęsy była długa i czas powrócić do kontynuowania jej opisu, rozpoczętego już w dwóch poprzednich odcinkach artykułu.

Otóż prezydentura Lecha Wałęsy, miała wymiar zarówno zewnętrzny, jak też wewnętrzny.

Co się tyczy tego pierwszego, to Polska, jako kraj średniej wielkości, geopolitycznie położony w miejscu szczególnie wchodzący ponadto w wyjątkowo skomplikowany etap przemian, potrzebowała prezydenta zdolnego przeprowadzić ją przez przysłowiowe wzburzone wody dziejowe. Polska, jako też kraj bez żadnych liczących się atutów gospodarczych i wojskowych, musi swoje braki wyrównywać w inny sposób, głównie wysokim poziomem elity rządzącej. Jeśli też ma ona mieć prezydenta, to takiego, który nie tylko dbałby o jej interesy, ale wręcz imponował światu.

Lech Wałęsa, ze względów oczywistych, nie tylko nie nadawał się do żadnej polskiej elity w ogóle, ale już zupełnie nie nadawał się do przewodzenia jej. Polska elita, zwłaszcza prezydent, powinna nie tylko mieć odpowiednie kwalifikacje fachowe i doświadczenie życiowe, ale nade wszystko znać świat zewnętrzny i co najmniej 2-3 języki obce. Językami obcymi nie muszą mówić prezydenci i inne czołowe osobistości USA, Rosji, Niemiec, Chin, Japonii, Francji czy Anglii, choć wielu z nich ma taką znajomość, ale "czołowi Polacy" muszą. Nie świat bowiem przychodzi do Polski po pomoc i radę, ale odwrotnie.

A propos, pamiętam prowadzoną raz rozmowę z Francuzami, w czasie której zwierzchnik mój postugiwał się angielskim,

on też prezjuent wałęsa, niemowa w językach obcych, ponadto w ogóle nie stynący z żadnej erudycji, czy choćby dobrych manier, szybko stał się osobą powszechnie unikaną w świecie, a nawet nie wolną od ironicznych komentarzy.

W każdym razie, Lech Wałęsa, decydując się na prezydenturę, musiał mieć zarówno wiele tupetu, jak też cierpieć na brak samokrytycyzmu, żeby porywać się na coś takiego i wystawiać siebie i Polskę na kpiny!

Chyba, że komuś zależało na ośmieszeniu Polski, w czym Lech Wałęsa mu pomógł...

W ogóle zaś, to Lech Wałęsa, zanim jeszcze został prezydentem, dał się już przecieć poznać jako człowiek, który nie wiedział co mówił, a natomiast mówił co wiedział... Powinno to być sygnałem alarmowym dla wszystkich tych, którzy pchali go na prezydenturę, ale tak nie było...

Niestety, nie da się przytoczyć tutaj wszystkich kompromitujących przykładów dyplomatycznych "zdolności" Lecha Wałęsy, ale niektóre trzeba.

Otóż już w czasie wizyty w USA w listopadzie 1989 r., jeszcze jako przewodniczący "Solidarności", należało podnieść alarm. Mowę w Kongresie miał akurat dobrą, gdyż napisał mu ją amb. Kazimierz Dziewanowski, a świetnym angielskim odczytał ją Jacek Kalabiński. Ale potem była już tragedia, kiedy to Lechowi Wałęsie przyszło otwierać usta bez pomocy innych.

Tak na przykład, co sam słyszałem, powiedział on, że Polsce żaden kapitał obcy nie jest potrzebny, a tylko brakuje jej... banków!

Zamiast krzyczeć wielkim głosem o kapitał amerykański, na preferencyjnych, a nie na handlowych warunkach, jak to robi z wielkim powodzeniem Izrael, Lech Wałęsa, już wkrótce prezydent Polski, uznał go za zbyt cenny dla koniecznych w niej przemian! Izrael, z pięciokrotnie wyższym dochodem narodowym na głowę od polskiego, nie ma skrupułów wyciągania ręki po kapitał amerykański, właściwie darowiznę, ale Wałęsa właśnie je miał!

Jeszcze bardziej zadziwił on świat swoim wywiadem dla holenderskiego tygodnika "Elsevier" z 28 marca 1990 r. Po prostu postraszył on Niemcy... "zdmuchnięciem z ma-

wczesniej na Margaret Thatcher, która w rezultacie tego popadła nawet w zachwyt nad... Jaruzelskim!

Natomiast bardziej zagadkową sprawą było stynne "zbesztanie" przez Lecha Wałęsę sowieckiego ambasadora w PRL, Władimira Browikowa, 18 stycznia 1990 r. w Gdańsku.

Lech Wałęsa "napadł" na niego, wyominając mu Katyń i inne zbrodnie sowieckie, jak też domagając się natychmiastowego zabrania wojsk PGWAR z Polski. Sprawa stała się głośna i podbiła popularność Lecha Wałęsy w narodzie. Tyle tylko, że wyglądała na z góry nagraną... W tym czasie bowiem, Jaruzelski z Mazowieckim coś tam przebakiwali o zatrzymaniu PGWAR w Polsce ze względu na niejasne stanowisko kanclerza Kohla w sprawie wschodniej granicy jednoczących się Niemiec. Lech Wałęsa jednakże, domagając się ewakuacji wojsk sowieckich z Polski, zajął z jednej strony stanowisko niby proniepodległościowe, ale z drugiej strony podejrzane i nieodpowiedzialne w istniejącej sytuacji. Każdy też, kto wie kim był ambasador sowiecki w Polsce, nigdy nie uwierzy, że fatygowałby się on na spotkanie z jakimś Wałęsą w Gdańsku, w dodatku pozwolił sobie nawymyślać i jeszcze puścić to w świat! ZSRR istniał przecież wtedy w najlepszym, podobnie jak Układ Warszawski, PRL ledwie schodziła dopiero ze sceny historycznej, a III RP nadal miała dwustronny i ważny traktat z ZSRR z 21 kwietnia 1945 r.

Co się tyczy zaś ewakuowania z Polski wojsk PGWAR, z czego potem Lech Wałęsa uczynił największe osiągnięcie swojej prezydentury, to rzeczywistość była przecież inna. Gdy został już bowiem prezydentem, to o sprawie jakoś "zapomniał", a w czasie wizyty w Moskwie w maju 1992 r., chciał iść nawet na niebezpieczne ustępstwa dla niej! PGWAR ostatecznie z Polski wyszła 17 września 1993 r., podobnie jak wyszły wojska rosyjskie z wielu innych krajów, ale udział Lecha Wałęsy w tym wydarzeniu był przecież żaden!

A w ogóle, to od momentu zostania prezydentem, występy międzynarodowe Lecha Wałęsy stały się jeszcze bardziej nieodpowiedzialne i kompromitujące, niż kiedy tylko szefował "Solidarności".

ANALIZY

W czasie wizyty w USA, w marcu 1991 r., nie tylko poinformował on zdziwionych gospodarzy o obaleniu prezeń... muru belińskiego, ale powiedział, że ... "w Polsce kończy się sielanka i zaczyna praca"... Dodał też, że to co się w Polsce działo kosztowało jego i podatnika amerykańskiego "mnóstwo pieniędzy", choć żadnych konkretnych sum nie wymienił. Obwieścił też, że w Polsce "czas się kończy z wyciąganiem ręki po dolary..."

Po jakie dolary? Ile ich naprawdę Polska otrzymała do tego czasu i dlaczego w ogóle miała rezygnować z dalszych?

Szczytem wszystkiego był jednakże jego występ w Klubie Prasy w Waszyngtonie. Powiedział on tam m.in.:

- "Chcę zrozumieć dlaczego nie robicie interesów w krajach postkomunistycznych. Przecież interesy robi się na brakach i głupocie. Braki znacie, bo są straszne..., a system nie był najmądrzejszy..."

Zgoda, wyraźnie nie powiedział co prawda, że głupotę polską też znacie, ale tak to przecież odebrano!

Lech Wałęsa ponadto, widocznie już po uczynieniu z Polski, jak sądził, "drugiej Japonii", teraz już opowiadał, że z Polski robi "Amerykę Wschodu"...

Jeszcze bardziej nieodpowiedzialnie zachował się w czasie wizyty w Izraelu w maju 1991 r. Przemawiając w Knesecie i odstępując od czytanego tekstu, zwrócił się do słuchaczy ze słynnymi już słowami "proszę o przebaczenie"...

Za co? Czyżby prezydent Polski przyznawał, co część Żydów uparcie twierdzi, że jako państwo współwinna jest ona Holocaustowi? Kto go do tego upoważnił i skąd on to wie? Wyuczyl się tego w zawodówce w Lipnie (oj, nomen-omen!), czy gdzieś to wyczytał przy okazji rozwijania swoich krzyżówek gazetowych?

Nie lepiej było też z jego wizytą w kwaterze NATO pod Brukselą 3 lipca 1991 r. Słuchaczom swoim dał bowiem już wcześ-

zydentą. Tak na przykład, po dymisji premiera Mazowieckiego po sromotnie przegranych prezeń wyborach prezydenckich, Lech Wałęsa na nowego premiera desygnował Jana Olszewskiego, z którym od lat działał w "Solidarności" i z którym był podobno bardzo blisko. Niestety, Olszewski już po dwóch dniach, z przyczyn ciągle niejasnych, wycofał się z misji tworzenia rządu, co było pierwszą poważną porażką nowego prezydenta. Drugim jego kandydatem na premiera został Jan Krzysztof Bielecki, b. działacz "Solidarności", wtedy też jeden z przywódców tworzącego się KLD, partii niby solidarnościowej, ale na bakier z PC, inną partią tego samego rodowodu.

Niestety, premierowanie Bieleckiego nie trwało zbyt długo, gdyż już w pierwszych i całkowicie wolnych wyborach do Zgromadzenia Narodowego, odbytych 27 października 1991 r., KLD zdobył tylko 7,5 procent głosów, co automatycznie podcięło szanse Bieleckiego na utrzymanie urzędu (w listopadzie tegoż roku ustąpił on z niego).

Kolejnym prezydenckim kandydatem na premiera został więc, już po raz drugi, Jan Olszewski. Olszewski rząd w końcu sformował, ale niemal zaraz jego stosunki z prezydentem zaczęły się źle układać. Również w samym rządzie, zwłaszcza na linii premier - minister obrony, stosunki też były nie lepsze.

W każdym razie, nie wchodząc już w szczegóły, w końcu maja 1992 r. prezydent Wałęsa wycofał swoje poparcie dla rządu, a 4 czerwca, w wyniku znanej afery z "listą Macierewicza", Sejm zdymisjonował rząd Olszewskiego, zgodnie zresztą z prezydenckim życzeniem.

W ten sposób doszło do otwartego już kryzysu w łonie rządzącego obozu solidarnościowego, którego efektem było nieoczekiwane i zastanawiające wydarzenie.

Konkretnie mówiąc, prezydent Wałęsa desygnował na premiera Waldemara Pawlaka, przywódcę PSL, partii bez solidarności-

Sejm uchwalił wotum nieufności dla rządu, a 1 czerwca prezydent rozwiązał Zgromadzenie Narodowe, zarządzając przedterminowe wybory.

Wybory, odbyte 19 września 1993 r., przy frekwencji zbliżonej do poprzednich wyborów, przyniosły olbrzymi sukces SLD, które zdobyło 20 procent głosów. Sukces odniosło też PSL, zdobywając 15 procent głosów. UD, ongiś zwycięzca w wyborach, zdobyła z kolei tylko 10 procent głosów, lewicowa UP, Unia Pracy, ongiś "Solidarność Pracy", partia o solidarnościowym rodowodzie, 7 procent (ongis ledwie ponad 2 procent), a natomiast KPN i świeżo sklecony BBWR, Bezpartyjny Blok Wspierania Reform, jedyna otwarcie partia prowałęsowska, ledwie przekroczyły 5-procentowy próg. Poza Sejmem znalazły się więc ZChN, PC, KLD, UPR, a nade wszystko "Solidarność". Korzystając z tej sytuacji, SLD i PSL utworzyły w Sejmie większościową koalicję, a nowym premierem został powtórnie Waldemar Pawlak, który tym razem sformował rząd. Za sprawą jednakże prezydenta, z którym premier był w ciągłym konflikcie, doszło do ustąpienia Pawlaka z urzędu, który 1 marca 1995 r. objął z kolei Józef Oleksy z SLD.

W rezultacie tych wydarzeń, prezydentura Lecha Wałęsy stała się już przysłowiowym piątym kołem u wozu... Prezydenckie veto, jeśli już takie zakładał, było z reguły unieważniane w Sejmie przez większościową koalicję, a sam urząd prezydencki, po wiecznie trwających jego przemebowaniach, stracił zupełnie na znaczeniu.

W tym miejscu trzeba jeszcze powrócić do wspomnianego już powyżej incydentu z "listą Macierewicza".

Nie wchodząc w kulisy tego wydarzenia, ciągle niezbyt jasnego, faktem jest, że na liście tej znalazły się 64 nazwiska prominentów III RP jako b. "tajnych współpracowników" Służby Bezpieczeństwa PRL. Listę otwierał... sam prezydent Lech Wałęsa! Trzy inne nazwiska zdięto w ostatniej chwili z li-

pomiędzy "komuchami" i "solidaruchami-tekwiakami", którzy jeszcze do niedawna uchodzili za patriotów...

W tej sytuacji, był już tylko krok do zwycięstwa Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich.

Wybory były widowiskiem absolutnie niepoważnym. Na starcie stanęło początkowo aż 27 kandydatów na prezydenta, a ostatecznie 13. z nich doznało do właściwego wyścigu. Był tu i aktor kabaretowy, producent wkładek ortopedycznych i nawet jego imię o nazwisku Bubel, nazwisku niezbyt przecież kojarzącym się ze sprawą prezydenturą...

Wszyscy ci kandydaci, poza Kwaśniewskim, poszli ponadto do wyborów w kompletnej rozsypce, kopiąc jeszcze po drodze dołki pod sobą.

Nie dziwota więc, że wybory z 5 listopada 1995 r. stały się tylko pierwszą ich turą, gdyż nikt z kandydatów nie uzyskał bezwzględnej większości głosów. Ku zaskoczeniu wszystkich, turę wygrał Aleksander Kwaśniewski, uzyskując ponad 35 procent głosów, podczas gdy Lech Wałęsa tylko 33 procent. Reszta, przy frekwencji 65 procent, nie przekroczyła 10-procentowej bariery, z niektórymi kandydatami ledwie uzyskującymi 1 procent głosów.

W drugiej turze, 19 listopada, przy frekwencji niemieli 69 procent, stosunkiem głosów prawie 52-48, wygrał znów Aleksander Kwaśniewski. Nie było to druzgocące zwycięstwo co prawda, ale było o wiele bardziej przekonujące niż ongiś Kennedy'ego nad Nixonem.

Kwaśniewski wystartował do wyborów wcześniej od Wałęsy, kampanię przeprowadził fachowo, miał na nią więcej od wszystkich pieniędzy, jak też prezentował się lepiej od swoich adwersarzy, Lecha Wałęsy w szczególności. Młodszy, odchudzony o siedem kilogramów, opalony, tańczący i śpiewający, nie mówiąc, że też bardziej elokwentny, stojący ponadto na czele licznej i zdyscyplinowanej armii SLD, z jej sztabem

jąc od czytanych tekstów, zwrócił się do słuchaczy ze słynnymi już słowami "proszę o przebaczenie"...

Za co? Czyżby prezydent Polski przyznawał, co część Żydów uparcie twierdzi, że jako państwo współwinna jest ona Holocaustowi? Kto go do tego upoważnił i skąd on to wie? Wycyzzył się tego w zawodówce w Lipnie (oj, nomen-omen!), czy gdzieś to wycyzzył przy okazji rozwiązywania swoich krzyżówek gazetowych?

Nie lepiej było też z jego wizytą w kwaterze NATO pod Brukselą 3 lipca 1991 r. Słuchaczom swoim dał bowiem już wcześniej tekst swojego wystąpienia, ale samo wystąpienie zmienił mu w ostatniej chwili "nadprezydent" Mieczysław Wachowski, co wywołało konsternację. Teksty doręczone i wygłoszone nie tylko różniły się zasadniczo w ważnych miejscach, ale stało się też zagadkowe kto w Polsce jest prezydentem? Wałęsa czy Wachowski?

Co gorsza, nieco potem, tuż przed wizytą w Niemczech na przełomie marca i kwietnia 1992 r., Lech Wałęsa zaczął raptem pleść coś o NATO-bis i EWG-bis, nigdy zresztą dokładnie nie wyjaśniając o co mu chodzi. Niestety, wniósł on do tych spraw tak olbrzymie zamieszanie, że w końcu nikt nie wiedział czy Polska chciała istotnie przystąpienia do tych organizacji, czy też tylko udawała?

A propos, tak się zdarzyło, że akurat byłem w Europie Zachodniej w czasie omawianej wizyty i sporo się tam o niej nasłuchałem. Doszło nawet do tego, że niemieccy gospodarze ocenili niecenzuralnie słowa polskiego gościa!

A może było lepiej z jego rozmowami z Jelcynem, którymi tak się chełpił? Ale gdzież tam! W maju 1992 r. w Moskwie poszły one fatalnie, a w sierpniu 1993 r. w Warszawie nawet już nie wiadomo jak właściwie poszły, gdyż najważniejsza ich część odbyła się w Helenowie w "cztery oczy", tylko z tłumaczem rosyjskim...

Tak czy inaczej, listę różnych gaf międzynarodowych prezydenta Wałęsy możnaby ciągnąć jeszcze długo, ale przejdźmy już do spraw wewnętrznych kraju.

Problemy na tym odcinku zaczęły się już od samego wyboru Lecha Wałęsy na pre-

zjednym razie, nie wchodząc już w szczegóły, w końcu maja 1992 r. prezydent Wałęsa wycofał swoje poparcie dla rządu, a 4 czerwca, w wyniku znanej afery z "listą Macierewicza", Sejm zdymisjonował rząd Olszewskiego, zgodnie zresztą z prezydenckim życzeniem.

W ten sposób doszło do otwartego już kryzysu w łonie rządzącego obozu solidarnościowego, którego efektem było nieoczekiwane i zastanawiające wydarzenie.

Konkretnie mówiąc, prezydent Wałęsa desygnował na premiera Waldemara Pawlaka, przywódcę PSL, partii bez solidarnościowego rodowodu, ale za to z ZSL-owskim, czyli prokomunistycznym!

Prawda, Pawlakowi nie udało się sformować rządu, co 11 lipca spowodowało desygnowanie na premiera Hanny Suchockiej i powstanie koalicyjnego rządu "ósemki" o solidarnościowym rodowodzie, ale kryzys w obozie rządzącym trwał nadal. Wiodącą w nim bowiem UD, "partia Mazowieckiego", była w rzeczywistości antywałęsowska. Tym samym była to zapowiedź następnego kryzysu w solidarnościowym obozie rządzącym, co zresztą ujawniło się w pełni już w roku następnym upadkiem rządu Suchockiej.

Zanim jednak doszło do tego, Sejm przyjął 17 października 1992 r. Małą Konstytucję, która niestety skomplikowała tylko rządzenie solidarnościowemu obozowi. Powstały bowiem ni to rządy gabinetowo-parlamentarne, ni to prezydenckie, ni to w końcu prezydencko-parlamentarno-gabinetowe. Spory na linii Sejm - rząd - prezydent i odwrotnie - zaostrzały się. Sama co prawda premier Suchocka miała niezłe stosunki z prezydentem, ale już pozostałe stosunki wszystkich ze wszystkimi skomplikowały się znakomicie. Szczególnie złe zaczęły być one pomiędzy PC i jego przywódcą Jarosławem Kaczyńskim z jednej strony, a prezydentem z drugiej strony, nie mówiąc już o zaostreniu się stosunków pomiędzy "Solidarnością" i rządem. Do tego doszły jeszcze niepokoje w kraju, organizowane głównie przez chłopską "Samoobronę", jak też narastająca krytyka rządu ze strony KPN.

I tak oto, 28 maja 1993 r., na wniosek powsta z "Solidarności", Alojzego Pietrzyka,

jeśli już takie zakładał, było z reguły nieważniane w Sejmie przez większośćową koalicję, a sam urząd prezydencki, po wiecznie trwających jego przemoblowaniach, stracił zupełnie na znaczeniu.

W tym miejscu trzeba jeszcze powrócić do wspomnianego już powyżej incydentu z "listą Macierewicza".

Nie wchodząc w kulisy tego wydarzenia, ciągle niezbyt jasnego, faktem jest, że na liście tej znalazły się 64 nazwiska prominentów III RP jako b. "tajnych współpracowników" Służby Bezpieczeństwa PRL. Listę otwierał... sam prezydent Lech Wałęsa! Trzy inne nazwiska zdjęto w ostatniej chwili z listy (Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka oraz Jacka Merkla).

Co to "tewiackiej" przeszłości Lecha Wałęsy, sięgającej jeszcze grudnia 1970 r., to podany pseudonim "Bolek", jak też nr 12535, figurujący aż w dwóch kartotekach informacyjnych, były dowodami aż nadto przekonywującymi. Niestety, sprawę zatuszowano, podważając tym samym wiarygodność przemian w Polsce, nie mówiąc już o prawdziwym obliczu pierwszej w niej osoby. Co gorsza, peerelawscy "tewiacy" mogli zostać przejęci przez sowieckie, czy potem rosyjskie służby specjalne. Prawdę mówiąc, "afery Oleksego", jak też sposób rozegrania jej przez prezydenta Wałęsę, niedwuznacznie sugerują nawet, że tak właśnie się stało...

W każdym razie, afery z "listą Macierewicza", w dodatku zrodzona wewnątrz rządzącego obozu solidarnościowego, była dla niego wydarzeniem wysoce kompromitującym i w efekcie katastrofalnym. Zwłaszcza, że broniący się przed zarzutami Lech Wałęsa zaczął z kolei oskarżać b. premiera Olszewskiego o otaczanie się "tewiakami", jak choćby wspomnianym już Zdzisławem Najderem, "Zapalniczką", który w gabinecie premiera był szefem zespołu doradców. Wałęsa zapomniał tylko, że to on przecież ściągnął kiedyś do kraju Najdera, obdarzając go też wysokimi stanowiskami...

Na ile omawiana afery wpłynęła na ostateczne podkopanie wiarygodności rządzącego obozu solidarnościowego, samego Lecha Wałęsy w szczególności - trudno dokładnie ustalić. Faktem jest jednakże, że w szerokich kręgach opinii publicznej zatarta się różnica

prawie 52-48, wygrał znów Aleksander Kwaśniewski. Nie było to druzgocące zwycięstwo co prawda, ale było o wiele bardziej przekonywujące niż ongiś Kennedy'ego nad Nixonem.

Kwaśniewski wystartował do wyborów wcześniej od Wałęsy, kampanię przeprowadził fachowo, miał na nią więcej od wszystkich pieniędzy, jak też prezentował się lepiej od swoich adwersarzy, Lecha Wałęsy w szczególności. Młodszy, odchudzony o siedem kilogramów, opalony, tańczący i śpiewający, nie mówiąc, że też bardziej elokwentny, stojący ponadto na czele licznej i zdyscyplinowanej armii SLD, z jej sztabem i siłami uderzeniowymi w postaci SdRP - Kwaśniewski miał wiele danych na zwycięstwo. Pokonanie Lecha Wałęsy, chamowatego, otyłego, z resztkami posiwiatych, ongiś sumiastych wąsów, paplającego bez ładu i składu oraz ledwie stojącego na czele polspolitego ruszenia - stało się zatem więcej niż możliwe. Wałęsę opuścił praktycznie Kościół, papież odmówił mu audiencji, kiedy to w październiku znalazł się we Włoszech, wysłał ponadto afery z milionem dolarów i wszystko inne również marnie mu szło. Dziś też wiadomo, że sztab Kwaśniewskiego martwił się tylko, czy aby Lech Wałęsa nie zrezygnuje z ubiegania się o powtórny kadencję. Innych się bardziej bano, ale nie jego. Wałęsa, jak wiemy, długo ociągał się ze zgłoszeniem swojej kandydatury, a kiedy ją zgłosił, było już za późno. Prawdopodobnie tak też miało być...

Przegranej Lecha Wałęsy nie trzeba żałować, choć też nie należy się cieszyć z wygranej Aleksandra Kwaśniewskiego, ale to już oddzielny temat.

Lech Wałęsa zastąpił sobie na klęskę i takie właśnie jak powyższe epitafium.

Zbrukał on urząd prezydencki w Polsce i kto wie czy już nie na zawsze. Jeśli bowiem on mógł być prezydentem, to może nim być już każdy.

Od autora: w związku z zamiarem napisania książki na tematy polskie, przez następne kilka miesięcy będę zabierał głos na łamach "Dziennika" o wiele rzadziej niż dotąd.